



## Mustang

Do dwudziestych trzecich urodzin Lena miała do samochodów stosunek letni – ni ją grzały, ni ziębiły. Na cieplejsze uczucia zasługiwały co najwyżej pekaesy, dostarczające wałówkę z rodzinnego domu do jej studenckiego życia. Gdy jednak poznała Tomka, PR-owca giganta motoryzacyjnego, który od zawsze modlił się do konstruktorów mustanga, a nie do swojego patrona, spojrzała na nie innym okiem.

– Wskakuj. Jadę w tę samą stronę – zaproponował, zatrzymując auto w jednej z kałuż żłobiących ulicę będącą jednocześnie chodnikiem.

Anin, jak i cała linia otwocka, dopiero się kanalizował i pokrywał kostką Bauma.

Lenie nie trzeba było dwa razy powtarzać. Skorzystałaby z zaproszenia nawet wtedy, gdyby za kierownicą siedział Hannibal Lecter. W masce lub bez. Ulica Poprzeczna była jej udręką, męką, gehenną. Nieoświetlona, pełna wądołów, żwiru i błota, skręcająca kostki, łamiąca obcasy. Wypełniona szczekaniem wielkich psów, zamkniętych za jeszcze większymi ogrodzeniami.

– Ratujesz mi plecy. – Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Mówi się: ratujesz mi tyłek – poprawił jej frazeologizm.

– W moim przypadku plecy – upierała się. Okazało się, że poprzedniego dnia nasiąknięty wodą but Leny uwolnił pół podeszwy, która przy każdym kroku zamaszystym łukiem zarzucała jej na plecy falę brudnoszarej brei. – Ledwo odczyściłam płaszcz. Drugi raz nie dałabym rady – dokończyła.

Od tego dnia Tomek przemierzał Poprzeczną niezliczoną ilość razy, powoli i ostrożnie, żeby nie urwać zawieszania w laurkowanym aktualnie modelu auta. Od czasu do czasu zajeżdżał na fachową pogawędkę do właściciela warsztatu, gdzie między innymi przerabiano symetryczne amerykańskie światła na niesymetryczne – europejskie.

– Stoi tam taki piękny mustang – opowiadał później Lenie – kiedyś go kupię. Jego silnik brzmi jak wszystkie kołysanki świata – próbował wytłumaczyć swój zachwyty tą drugą miłością.

Lena wierzyła we wszystko, co mówił. Przez lata ich znajomości oprócz kolorów karoserii zaczęła rozróżniać modele terenowe, rodzinne i sportowe, SUV-y, kombi i hatchbacki. Potem także modele kolekcjonerskie i ikony motoryzacji.

Konikiem Tomka był pomruk mocnego silnika i brak dachu.

– To jest wspaniałe! – przekrzykiwał pęd powietrza, które wirowało w aucie jak derwisz i targało jej długie i kręcone włosy w barwie miedzi. Jego fetysz.

Lena uśmiechała się w odpowiedzi i nurkowała w stronę torebki w poszukiwaniu bandany, apaszki, chusty, czapki lub czegokolwiek, co stanowiłoby ochronę przed palącym lipcowym słońcem i tym cholernym wiatrem.

Ona, podobnie jak bohater *Pół żartem, pół serio*, uważała, że nikt nie jest doskonały. Przyjmowała więc Tomka z dobrodziejstwem inwentarza, czyli także z uwielbieniem dla kabrioletów. Jedynie od czasu do czasu na widok nisko zawieszzonego auta z siedzeniem ustawionym w pozycji do uczty greckiej pozwalała sobie na uwagę w stylu:

– A nie da się tego jakoś podnieść?

Choć uwielbiał jej poczucie humoru, tego żartu nie umiał docenić. Naburmuszenie przechodziło mu chwilę później, gdy w sobotnie przedpołudnie gnali w kierunku Kazimierza, Janowa, Torunia, Jeleniej Góry czy jakiegokolwiek innego miejsca na mapie. Z jej punktu widzenia zawsze nieco za daleko. Rekompensowała sobie dyskomfort podróży obserwowaniem czystej frajdy bijącej z jego twarzy.

Pytana o idealny samochód, odpowiadała: jasnoniebieska. Po czym uzupełniała: nysa. Polska myśl techniczna zapakowana w obły kształt, wysoko zawieszona, z prosto ustawionym fotelem.

– Ale co ci się w niej tak naprawdę podoba? – próbował zrozumieć Tomek, gdy czasami zdarzało im się mijać taki zabytek na drodze.

– Wygląda jak małe miasteczko we Włoszech. Trochę niedzisiejsze, ale świetne do tego, żeby się w nim zakochać i dobrze żyć.

Kręcił głową ze śmiechem i przyspieszał.

Obserwowanie go, gdy prowadzi, było doznaniem estetycznym. Za kierownicą miał tę niewymuszoną lekkość, która bierze się z godzin doświadczenia. Odczytywał wszystkie sygnały ruchu: czuł przerażenie początkujących kierowców, agresję pijanych, nieuwagę rozmawiających przez komórkę. Gdy miał kawałek drogi tylko dla siebie, rozpędzał auto do końca. Koncentrował się jedynie na doznaniu szybkości. Stawał się prędkością. To było jego zen.

Gdy docierali na miejsce, wtapiali się w tłum: spacerowali, jedli lody, łapali cień w kościołach i słońce w parkach. Potem szukali miejsca, gdzie mogliby się kochać, poczytać lub zdrzemnąć. Wieczorem szczęśliwi pędzili z powrotem.

Raz w Nałęczowie drogę zaszła im Cyganka.

– Da rękę. Taka młoda, świeża. Ja powiem, co ją czeka – zwróciła się do Leny.

Lena odruchowo schowała dłoń za siebie.

– Dziękuję. Nie trzeba – wymigała się.

– Każdemu trzeba wiedzieć, przed czym uciekać, czego nie gonić, przed czym się bronić – zarecytowała kobieta.

Lena pokręciła energicznie głową i pociągnęła Tomka za sobą.

– To mogłoby być nawet zabawne – zaproponował.

Nie zatrzymała się ani nie zwolniła uścisku, dopóki nie umknęli z pola widzenia Cyganki.

– Wystraszyłaś się tej kuglarki? – zapytał Tomek, gdy Lena wreszcie zmieniła trucht w krok spacerowy.

– Wierzę, że żyję, jak chcę. Raz powiedziałam to nawet dziadkowi. Odpowiedział mi wtedy historią. Podstarzały kawaler zatrzymał się w zajeździe. Gdy czekał przed stajniami na napojenie koni, jakaś skołtuniona starucha, której nikt już nie potrzebował do roboty, rzuciła w jego stronę: „Kawaler?”. Nie miał ochoty na pogaduszki. Spieszyło mu się. Odwrócił się do niej plecami, ale uszu nie zatkał. „Jedzie do narzeczonej. Ale chleba z tej mąki nie będzie. Ona słaba, chorowita. Urodzi takiego pokurcza, co tygodnia na tym padole nie dotrwa, a potem sama zemrze. Wdowiec się będzie po świecie kolebał w poszukiwaniu dziedzica. Tyle że każda już teraz będzie

się zdawała nie dość krzepka. Sakwy mu będą puchły, bo tylko robota będzie mu miłą. Na balach i rautach będzie go mdliło od zapachu słabości. Zgryzota o losy majątku będzie go przychyłać do ziemi. Aż w końcu ożeni się z chłopką. Mezalians nieważny, dziedzic ważny”, starucha zawiesiła głos. „Może ją se teraz obejrzyć. Bawi się przy studni”, zachwaliła. Mężczyzna mimowolnie odwrócił głowę we wskazaną stronę. W kucki siedziała tam obdarta dziewczynka, góra trzy-czteroletnia, o ile umiał ocenić wiek bachora. Splunął. „Konie gotowe”, usłyszał w tym samym momencie. Wskoczył na wóz, jakby się paliło. Mijając obdarte dziecko, smagnął je batem. Zapiszczało z bólu. I dobrze. Niech starucha nie myśli, że uwierzył w te brednie. Wiele lat później co noc mógł wpatrywać się we wzór, który jego bat zostawił na plecach dziewczynki. Od tej pory nie umiem myśleć o przeznaczeniu inaczej jak o bacie – podsumowała Lena.

Pocałował ją.

– Naszym przeznaczeniem jest szczęście – obiecał.

Uwierzyła mu. Nie zwróciła uwagi, że nie wspomniał nic o czasie.

\*

Po roku widywania się głównie w weekendy uznali, że należy im się coś więcej. Wynajęli wspólnie mieszkanie – na Zielnej. W połowie drogi między ich

dotychczasowymi adresami: domem jego rodziców w Żyrardowie i jej studencką stacją. Dotychczas dzieliło ich sześćdziesiąt sześć i cztery dziesiąte kilometra. Teraz mieli siebie na wyciągnięcie ramion.

– Zawsze marzyłam o kawalerce – zaklinała się Lena, gdy próbowali upchnąć swoje dwa życia w jednym pokoju z otwartą tycią kuchnią, przymilającą się widokiem na drzewa w Ogrodzie Saskim. Od teraz wszędzie mogli chodzić na piechotę. Nawet do ślubu u sakramentek na Nowym Mieście.

Studiowali, pracowali – każde na dwóch posadach, chodzili na festiwale, koncerty i do barów. Wracali po nocach. To chyba w czasie jednego z takich powrotów Tomek wspomniiał o mieszkaniu. Ich. Własnym. Zaczęli szukać i liczyć. Za każdym razem jednak rachunki, nawet te kredytowe, kończyły się pod kreską. Aż pojawiła się okazja – tyle że w Żyrardowie. Na myśl o opuszczeniu widoku na Ogród Saski Lenie zrobiło się smutno. Okazało się jednak, że Żyrardów ma swój atut – czerwoną cegłę. Na tym się zakotwiczyła. W jej oczach cegła niwelowała zatłoczone pociągi, koniec bogatego życia nocnego i brak opcji dotarcia do wszystkich istotnych miejsc na piechotę.

Wybierali klamki na Kole, lampy w internecie, wazony w antykwariatach. Aż w końcu uznali, że mieszkanie wygląda jak stworzone dla nich. Coraz częściej

w weekendy zamiast jechać za miasto, zapraszali przyjaciół. Najczęściej Mateusza, przyjaciela Tomka od zawsze, potem także Polę, przyjaciółkę Leny od teraz.

Życie było ideałem.

– Wskoczę do Matiego. Zaparkował w garażu mustanga. – Tomek uśmiechnął się i pocałował ją w czoło, szarpiąc się z rękawem kurtki, w którym utknęła mu ręka.

Przepuściła go w drzwiach, chociaż powinna była zatrzymać.

Kiedy nie wrócił do domu, miliony razy odtwarzała w głowie scenę, gdy zamyka za nim drzwi. Zawsze brzmiały jak odgłos zatraskującego się wieka trumny.

Jedyną odtrutką stało się wyobrażenie sobie, jak sama przemierza miasteczka i metropolie. W każdym znajduje salon z logo dzikiego konia i roztrzaskuje maski aut, wrywa siedzenia, niszczy projekty nowych, jeszcze mocniejszych silników. Unicestwia rzeczy i ludzi.

Miała beznadziejną nadzieję, że któregoś razu w akcie zniszczenia uda się jej także wyrzucić z siebie ten szklany okruch, który wbił się w jej serce w momencie śmierci Tomka. Od tego czasu przestała czuć cokolwiek. Nie doskwierał jej jednak brak zapachu kwiatów, jedzenia, perfum, deszczu, skoszonej trawy, benzyny czy wilgotnego wapna. Żałowała jedynie, że nie czuje zapachu Tomka i książek. Zawinęła wszystkie jego



rzeczy w wiele warstw folii w sypialnianej szafie. Od czasu do czasu pozwalała sobie zatapiać się w niej, godząc się, że rozszczelnienie tej komory zabiera część wietrzejącej obecności Tomka. Czasami w księgarniach, knajpach i bibliotekach przykładała też do nosa książki. Za każdym razem mogła powiedzieć jedno – pachną tylko papierem. Bez opowieści.

Najgorszy okres przetrwała dzięki serialom. Po przekroczeniu progu domu od razu podłączała się pod strumień życia Martina i Wendy Byrdów, Francisa i Claire Underwoodów albo Waltera White'a. Oddychała ich zmęczeniem i pluła ich krwią. Płakała ich łzami. Dzięki temu oszczędzała swoje. Pomimo że scenarzyści posyłali bohaterów w otchłanie okrucieństwa, czuła się bezpieczna, bo mijali się z prawdą o milimetry. Nie potracali struny tego bólu, który widziała na spalonych papierosami, ogniem i życiem dłoniach dziadka.

W dzieciństwie, gdy nie mogła zasnąć, te dłonie delikatnie drapały ją po plecach, przekazując niewypowiedzianą opowieść o dziecku, które umiera ci na rękach, a ty możesz co najwyżej użyć ziół, zabobonów i modlitw. Gdy odkładasz jego zwiotczone ciało, nie płaczesz, tylko idziesz w pole tyrać do upadłego, potem szlachtujesz świnie, rozbierasz ją na części, napełniasz jej kiszki krwią i kaszą. Na stypie oddychasz zapachem świec, potu żałobników, zastygającego ciała dziecka. Jesz

kaszanke, która rośnie ci w ustach. Wychodzisz za dom i wymiotujesz. Potem zapadasz się w sobie, ale wstajesz i kładziesz się w rytmie piania koguta, wyrzucania gnoju z obory i zbierania siana przed ulewą. Od czasu do czasu dłużej przytrzymujesz żarzącego się papierosa w palcach lub szczapę, która ma zapalić ogień pod kuchnią. Pozwalasz mu jednak ślizgać się po twojej skórze. Dzięki temu możesz zrzucić część załobnego bólu na poparzenie.